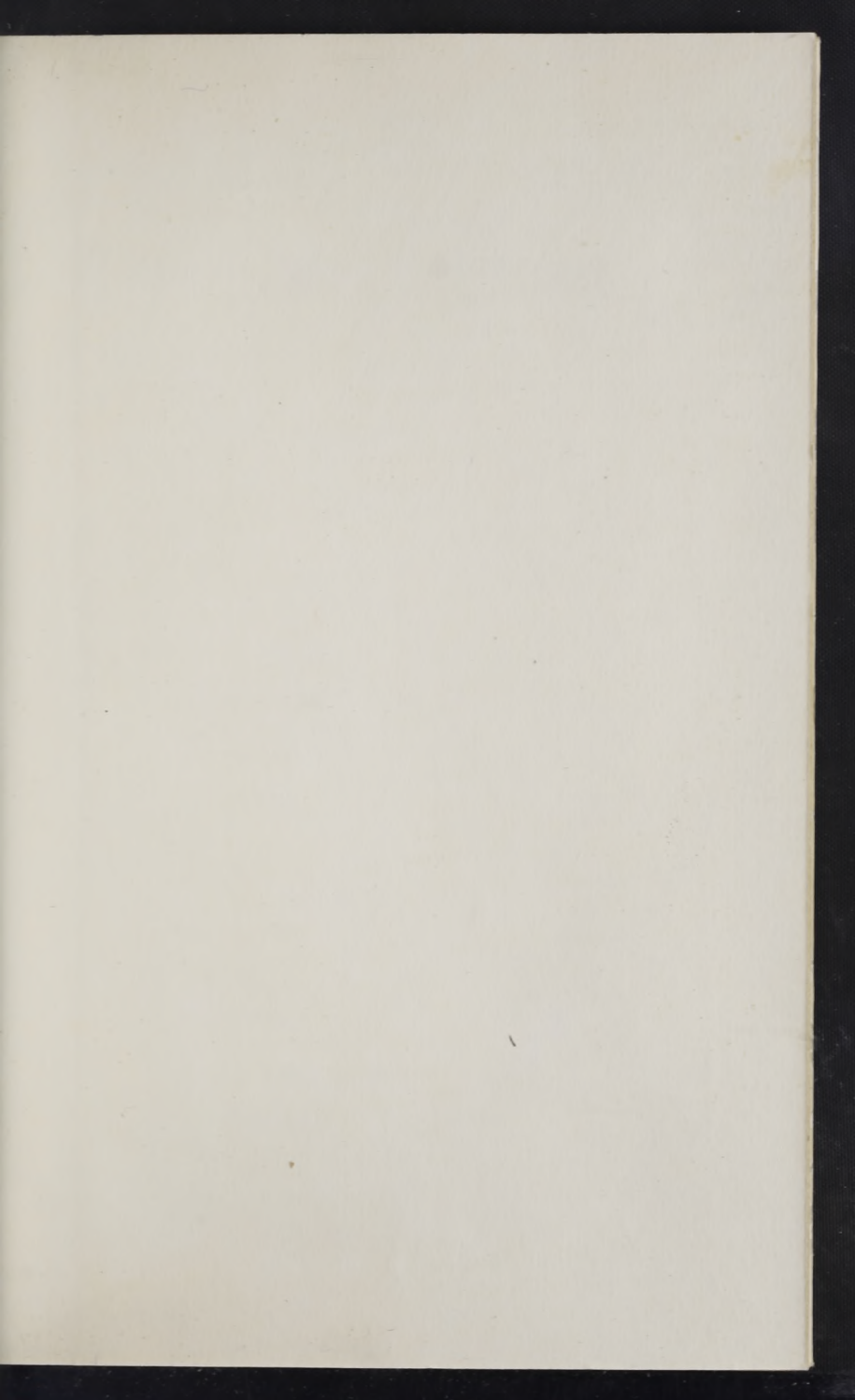


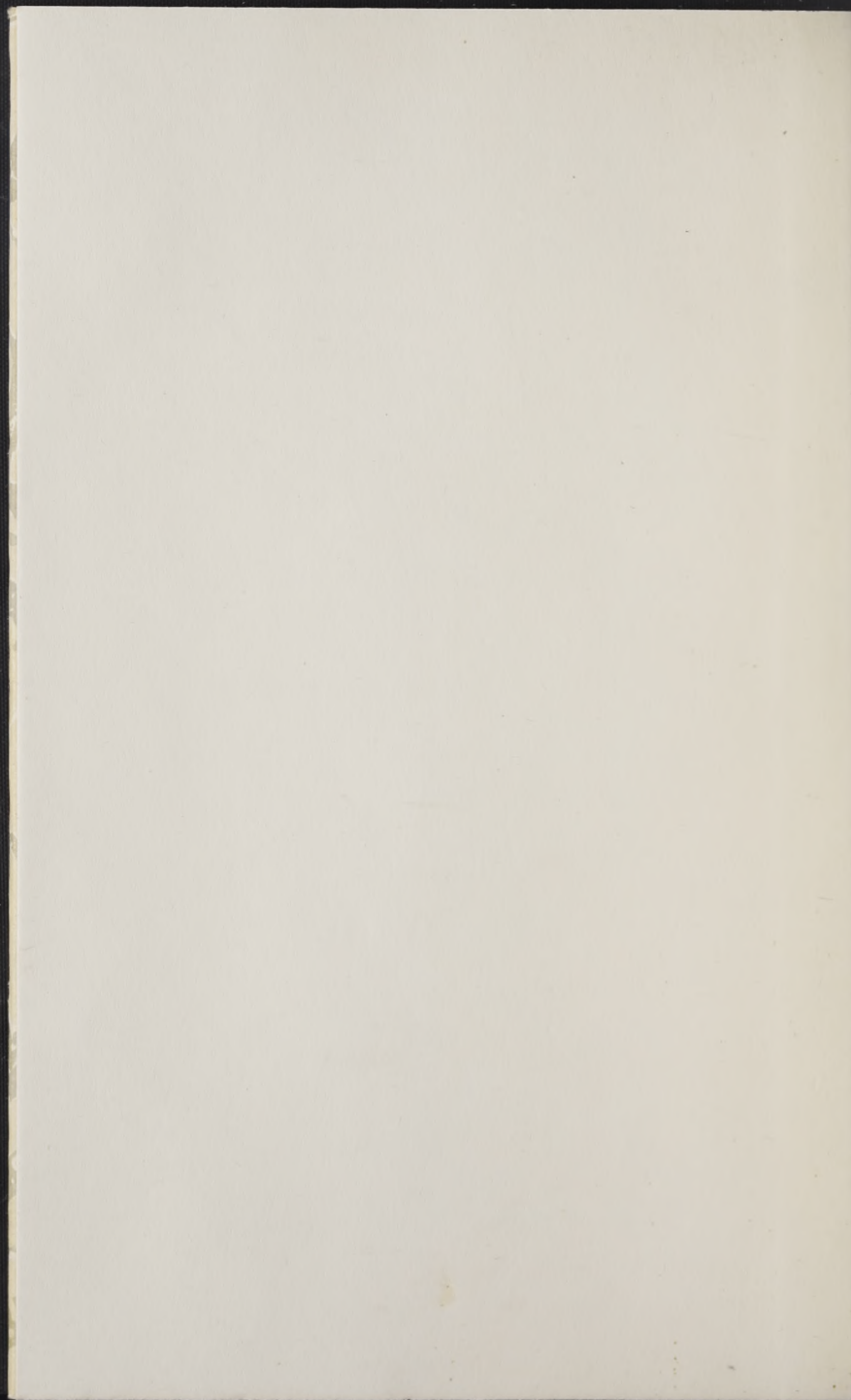
1404300

BN

BN







1.404.300

8292

# O społeczeństwie poznańskim.

Kazimierz Jeziorowski

Napisał

Piotr Stroma. — acwR

— \* —

. . . . . gdy motłoch się zaprzęga  
Przed tryumfalny wóz swych czczych bałwanów,  
Nie ciągnę z nim.

Heine.



Poznań 1893.

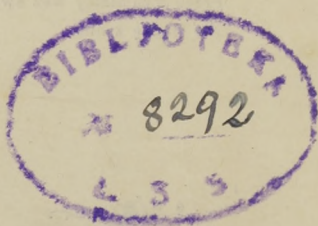
Nakładem Autora.

Drukarnia Merzbacha.

BIBLIOTEKA  
Wydawnictwa Społeczno-Pedagogicznego  
L. S. S.

Tym panom, którzy, okazując żywe zainteresowanie się pracą niniejszą, nie małą podniętą autorowi byli i nie jedną myśl co do społeczeństwa naszego podali, niechaj mi wolno będzie na tem miejscu złożyć serdeczne podziękowanie.

Autor



BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA  
111.404.300



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020472458

Źle z nami! — zapewne nie ma człowieka, znającego nasze stosunki, któryby o tem wątpił. Ale chociaż wszyscy to widzą, mało jest takich, którzy zdają sobie sprawę, dla czego źle jest. A i wielu z tych, którzy zastanawiają się nad przyczynami naszej bezsilności i naszego materialnego i moralnego upadku, gotowi obwiniać losy zawistne, obcą przewrotność, najrozmaitsze przyczyny zewnętrzne, zamiast patrzeć w siebie. A jednak przyczyną naszego upadku jesteśmy my sami i nikt więcej. Jakim sposobem zgotowaliśmy sobie los, pod którym dzisiaj jęczymy, to właśnie zamierzona treść niniejszej rozprawy. Prawda jest gorzką według utartego wyrażenia, a ci, co ją mówią bez ogródki, nie znajdują ani pokłasku ani wdzięczności. Wiem o tem. Tym zaś, którzy pytają, dla czego jednak ją wypowiadam, odpowiem słowami Goethego:

„Czemu odmienne wygłaszasz zdanie

Z ogólnym prądem w rozbracie!“

„Nie chodzi mi o przypodobanie

Uczyć się macie.“

A choćby nawet przeszły te słowa bez wrażenia i żadnego nie wywarły skutku na nasze zacofane społeczeństwo, to jedną korzyść na pewno mu przyniesie. Oto, gdy po kilku wiekach, pozostając przy dzisiejszym kierunku, wynarodowione Poznańskie stanie się prowincją rdzennie niemiecką, i chyba tylko stary orzeł polski na wieży ratuszowej świadczyć będzie o tem, co minęło — i gdy jaki lubownik dziejów ojczystych, szperając po starych bibliotecznych szpargałach, znajdzie zapomniany egzemplarz niniejszej broszury, to przeczytawszy go, ogłosi światu, że i my nie ginęliśmy tak zupełnie bez walki, że i między nami odzywał się czasem głos protestu „jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa“.

Wszystkie społeczeństwa europejskie przechodziły stopniowo z pod absolutyzmu monarchicznego do samo-

rzędu narodu i wszystkie, z wyjątkiem Rosyi, dotąd despotycznie rządzonej, mniej więcej zwycięsko zmianę tę przeprowadziły lub dziś jeszcze przeprowadzają. U nas trwała potęga, bogactwo i zdrowy rozwój społeczny tak długo, póki wisiała nad nami żelazna ręka absolutnego monarchy. Z chwilą, kiedy naród zaczyna rządzić sam sobą, poczynają też kielkować główne przyczyny naszego upadku: indywidualizm, nie dający się podporządkować ogólnemu dobru — wybudowanie szlachty ze szkodą innych warstw społecznych, które zostają formalnie przygniecione i niedopuszczane do rozwoju — anarchja. Te przyczyny, do których dołączyć jeszcze można i z czasów późniejszych systematyczne i celowo przeprowadzone ogłupienie narodu przez jezuitów, zgotowały utratę naszej niepodległości. Jeżeli dziś skarżymy się, że nasze Poznańskie jest małym skrawkiem, któremu rozwój prawidłowy już tem samem jest utrudniony, to temu zaprzeczyć nie można, ale również zapominać nie trzeba, że do smutnej ostateczności rozbioru naszej ojczyzny sami przygotowaliśmy materiały. Zresztą utrudnienie rozwoju nie tłumaczy jeszcze zastojów zupełnego i cofania się, gdy ludzkość cała ogromnym, nieprzepartym prądem dąży naprzód. Nie łudźmy się, że siła tego prądu i nas zaprowadzi sama przez się bez wysiłku i pracy z naszej strony ku lepszej przyszłości. Społeczeństwa, nie idące naprzód, cofają się — masy wód, opierające się prądowi, wirami porwane, idą na dół.

Dzisiaj jesteśmy takimi samymi, jakimi byliśmy dawniej. Wybują indywidualizm trawi i dziś nasze społeczeństwo ku szkodzie ogólnego dobra, jesteśmy pełni uprzedzeń kastowych, ciemni i przesądni, i jeżeli jeszcze coś do tego skarbu cnót narodowych dodać można, to zazdrość wzajemną przy najłżejszem powodzeniu, dewocją i jej siostrę rodzoną, obłudę.

Piętno czasów nowożytnych polega na dostępności wiedzy dla szerokich kół społeczeństwa. Wyzwolenie nauki z więzów dogmatu, wolność słowa i myśli tak na wszechnicach jak w prasie zrodziła ten szeroki strumień wiedzy, z którego każdy pełną dłońią czerpać może, ile siły jego starczą, bez obawy, by dla innych zabrakło. Bo należy ona do tych cudownych zasobów, których zapotrzebowaniem wyczerpać nie można jak ongi jadal



i napoju pod starą strzechą Piasta i Rzepichy. Przeciwnie, rośnie pod czerpiąciami ją dłońmi, wylewa się szerokiem kołem nad brzegi, zajmując coraz nowe i nowe warstwy społeczne. Ztąd wzrost oświaty w nowożytnych społeczeństwach, dającej się rozłamać na dwie wielkie odnogi: wykształcenia ogólnego i fachowego.

Pierwsze, to światło, pozwalające człowiekowi objąć wzrokiem ducha szersze widnokreśli, tłumaczące mu znaczenie własnej istoty i jej stosunku do świata — drugie to warunek konieczny w twardej drodze żywota, to broń w walce o byt, zaradzająca potrzebom jednostki, bogacząca ogół.

My obywamy się w obu kierunkach bardzo skąpe-  
mi dozami. Ciemnota nie jest u nas wyłączną własnością tylko ludu, ale zalega wszelkie warstwy naszego społeczeństwa. Z niej pochodzi zacięty kierunek zachowawczy naszego chłopca, każący mu trzymać się oburącz przestarzałych, przy dzisiejszym rozwoju rolnictwa zgubnych form gospodarstwa rolnego; jego wiara w gusła i zababony, w „uroki“, w „mądrych“ i t. d., przyczyniająca się do strasznej śmiertelności dzieci wiejskich w pierwszych latach życia, i oddziaływająca zgubnie na stan zdrowotności u dorosłych; jego niezrozumienie spraw publicznych. Ona to przyczynia się potężnie do znanej niedojrzałości miejskich klas rzemieślniczych, objawiającej się zarówno pod względem fachowości jak w życiu publicznym. Ona wreszcie jest nieodłączną towarzyszką przeważnej większości naszej t. zw. inteligencji zarówno miejskiej jak wiejskiej. I tu spotykamy zacięty konserwatyzm, zaskorupienie się w średniowiecznych poglądach o świecie i skrajnym katolicyzmie, brak znajomości nowszych kierunków piśmiennictwa swojego i obcego i sporo przesądów. Nie mniej charakterystyczną cechą naszej inteligencji stanowi zadziwiająca w obec ogromnego rozwoju nauk medycznych w ostatnich dziesiątkach lat skłonność do leczenia się „Knajpem“ i homeopatyą!

Nasi panicze ze wsi rzadko cieszą się powodzeniem w szkołach publicznych. Wielu z nich dobija z trudem skołatana nawą do bram zapewniających im skróconą służbę wojskową — i syci sławy powracają na wieś ojczystą. A jako niegdyś starożytni Grecy, uniosłszy

życie ze spienionych fal morskich, stawiali na brzegu posąg Jowiszowi Ratującemu, tak uszczęśliwiony ojciec stawia, powracającemu w tryumfie synowi, hekatombę z butelek „węgierskiego“ i cieszy się cała okolica, że znowu jeden ze szlachetnych zwyciężył. I oto zbogaciło się znów społeczeństwo o urodzonego gospodarza; bo jeżeli dziad i ojciec nie potrzebowali szkół fachowych i żyli — no to i wnuk obejdzie się bez nowych wymysłów niemieckich. Prawda — dziad i ojciec istnieli, częścią zasobami przeszłości, częścią ogólnym zastojem — ale świat poszedł naprzód; nieznanie wprzódki dzielnice otworzyły się agrikulturze, postęp ujawnił się w uprawie roli, maszyny pracują prędkiej i taniej od rąk ludzkich, ceny produktów rolnych spadają — więc gdy wnuk uprze się, by wszystko było, jak bywało — to świat pójdzie dalej swoim torem, a jego czeka ruina albo — komisya kolonizacyjna. Bo na świecie panuje nieugięta, na prawach przyrody oparta konieczność, i tylko my jedni nie troszczymy się o nią, rachując na opatrność i staropolskie: jakoś to będzie.

Konieczna potrzeba fachowego wykształcenia przy utrudnionych dziś warunkach gospodarstwa rolnego, wobec prawdziwego przełomu, odgrywającego się na tem polu, tak dalece nie przeniknęła naszego społeczeństwa, że nawet niejednokrotnie ci, którzy potrzebę wyższego wykształcenia uznają, kształcą synów swoich, którym na przyszłość gospodarstwem rolnem trudnić się wypadnie, w odmiennych fachach uniwersyteckich, jakoby znajomość warunków i zasad gospodarstwa sama z duchem świętym spływała, gdy czas nadejdzie.

W ogóle powiedzieć można, że u nas tem zdrowsze warstwy odnajdziemy, im niżej zstąpimy w hierarchji społecznej. Stosunkowo najzdrowszym elementem jest chłop polski. Daleki jestem od bałwochwalczego uwielbienia naszego ludu i nie zamykam oczu na jego wady. Jest ciemny i nie ma poszanowania dla cudzej własności, temu zaprzeczyć nie można — ale pamiętać trzeba, że to po części nie jego wina. Obowiązek oświecania mas ciąży na wyższych warstwach społecznych, a to co u nas dzieje się w tym kierunku, to raczej kokietowanie ludu oświatą niż rzetelna praca w tym celu. Prawda, że to praca nie łatwa i mozolna, prawda, że nawet naj-

lepsze chęci muszą przy dzisiajszych stosunkach najrozmaitsze napotykać przeszkody, z których nie najmniejszą jest brak zaufania i niechęć ludu samego. Ale owa niechęć wyrodziła się właśnie z tego naturalnym rozsądkiem kierowanego instynktu, który naszemu chłopu powiada, że to, co się dzieje dla jego oświaty, nie odpowiada rzeczywistym wymaganiom i nie może prowadzić do celu. Potrzeba by na to i poświęcenia własnego interesu dla sprawy ogólnej i żelaznej wytrwałości t. j. dwóch cnót kardynalnych, których u nas nie ma. Kółek włościańskich, mających oświecać naszego chłopą, jest za mało. A z tej nie wielkiej liczby znikająca zaledwie liczba funkcjonuje jako tako — reszta śpi. Odbywa się to jako pańszczyznę, od której usuwać się jakoś nie wypada, więc i rezultaty odpowiadają wysiłkom. Ale właśnie ten fakt, że niektóre kółka cieszą się powodzeniem, dowodzi, że lud nasz stanowi materiał podatny do kształcenia, jeżeli tylko znajdzie swego mistrza; wtedy topnieje owa początkowa niechęć i ustępuje miejsca żywej, człołobitnej wdzięczności dla tego, kto mu bezinteresownie światło wiedzy w darze przynosi.

Że można podnieść dobrobyt społeczeństwa, podnosząc poziom oświaty, że zwiększony dobrobyt umoralnia ludzi, to są rzeczy dawno dowiedzione; nie na podstawie oderwanych rozumowań ale statystycznymi liczbami — tylko u nas tak w tym kierunku jak i w innych dziewicza cisza — jak przed stworzeniem świata.

Chłop nasz ciemny jest, więc jest i ubogi — ciemnota nie chodzi sama, lecz ciągnie za sobą swą siostrę rodzoną, nędzę. Nie mając co jeść, wyciąga rękę po cudze, a my, którzy wszystkiemu winniśmy, kiwamy nad nim głowami. Prawa przyrodzone wyższe są od wszelkich ustaw, kodeksów, przykazań i działają z bezwzględną koniecznością; człowiek głodny i nie mający sposobu do życia, będzie zawsze targał się na cudzą własność, a jeżeli coś w wątpliwość podać możemy, to nasze prawo karanie go za to. Ale pomijając ciemnotę i jej skutki, jest chłop polski zdrową odnogą społeczną: wytrzymali, pracowity, usłużny, łakomy na rolę i przywiązany do niej. I dla tego, że takim jest, znajduje pracę za granicami naszego społeczeństwa, połączoną z wyższym zarobkiem, jedyną ucieczką przed nędzą

domową. To znowu nędza i tylko nędza pcha rokrocznie tysiące naszych robotników, najsilniejsze i najwięcej rzutkie jednostki na obczyznę, zkaąd tylko część do nas powraca. Podnieśmy poziom umysłowy ludu, a zrobimy go lepszym i bogatszym i zatrzymamy ten potok naszej krwi, co tak szerokiem łożyskiem upływając, przyspiesza naszą agonją.

Nasze mieszczaństwo jest klasą niedojrzałą, nasz handel nie rozwija się zdrowo; nasz przemysł jest w zarodku. W części, to wina przeszłych wieków, skutek wybijania kasty szlacheckiej w dawnej Rzeczypospolitej polskiej i przygłuszenia innych warstw społecznych. Takie dziejowe błędy potrzebują wieków do naprawy. Ale z drugiej strony byłyby te twarde porozbiorowe czasy, pełne gorzkich i bolesnych nauk szybciej spowodowały zwrot ku lepszemu, gdyby nie okoliczność, że przechowaliśmy ze starannością godną lepszego obiektu stare tradycyjne błędy: bezpodstawną pogardę dla przemysłu i brak wykształcenia fachowego. Gdzieindziej uważane jest za chlubę, że firma przez wieki pozostaje w ręku jednej rodziny źródłem bogactwa i poważania ogólnego. U nas syn zubożonego przemysłem ojca nie prędzej spoczywa, aż nie pozbędzie się przedsiębiorstwa; bo u nas i tylko u nas z całego szerokiego świata jest uczciwa praca na chleb — zakałą.

Brak kapitału, na który zwykliśmy składać całą winę nie rozwijającego się przemysłu i handlu nie tłumaczy niczego. Właśnie dla tego, że tacy jesteśmy, że wstydzimy się uczciwej pracy, że chcemy za szybko się bogacić, że wymagamy pod osłoną patriotyzmu, aby nasze gorsze wyroby i przedmioty zamiany za droższą cenę nabywano, że żyjemy nad stan — właśnie dla tego nie mamy kapitału. Kapitał to rzecz, wyrabiająca się szybko w umiejętnych rękach i rosnąca w miarę swej wielkości i obrotu z zadziwiającą szybkością. Niejednokrotnie widziano w dziejach, że jednorazowe wyniszczenie bogactwa narodowego, czy to długoletnią wojną, czy wrogimi siłami przyrody u pracowitych społeczeństw zacierało się w krótkim czasie bez śladu, często stanowiąc właśnie bodziec do szybszego rozwoju przemysłu, handlu i bogactwa. I na odwrót mamy przykłady z historii, że nagle, bez wysiłku zubożenie się narodu, wątlilo

jego odporność i prowadziło go szybko do upadku. Bo bogactwo narodowe spoczywa jedynie w pracowitości i oszczędności społeczeństwa t. j. w dwóch kardynalnych cnotach, których u nas nie ma. Jest to błędem zasadniczym wymagać od społeczeństwa, by kupowało w imię patriotyzmu produkta handlu drożej u swoich. Bo najpierw kupujący jest tak samo Polakiem jak sprzedający — więc co jeden zyskuje, traci drugi — trudno dopatrzeć się, by interes narodowościowy cośkolwiek tu zyskiwał; a potem kupcy nasi przyzwyczajeni do zbyt swoich gorszych towarów za względnie wysoką cenę, nie starają się o lepsze źródła, o fachowe wykształcenie, o podniesienie handlu — więc też i handel upada. Mamy nie tylko prawo ale i obowiązek żądać u naszych kupców cen równie niskich i towarów równie dobrych jak u obconarodowców — tylko w ten sposób wyzwoli się handel nasz z pieluch, którymi dzisiaj spowity i stanie na wysokości międzynarodowej, nie obawiając się konkurencji. Bezmyślne przenoszenie idei narodowościowych na pole handlu i przemysłu, popierane z uporem przez nasze pisma, więcej szkodzi niż pomaga. Niech każdy kupuje tam, gdzie najrzetelniejszy towar i najniższa cena, a nasi kupcy niech pracują w tych kierunkach. Wynikiem tego będzie, że firmy nierzetelne, szkodę raczej niż pożytek społeczeństwu przynoszące, upadną, a przedsiębiorstwa uczciwe i umiejętnie prowadzone podniosą się, mając zbyt u swoich i u obcych. Pamiętać o tem winniśmy, że społeczeństwo nasze jest nieskończenie biedne, i że według wszelkiego prawdopodobieństwa w niedalekiej przyszłości, w miarę usuwającej się z rąk naszych ziemi, będzie jeszcze biedniejsze; ograniczając więc nasze przedsiębiorstwa na istnienie li tylko z własnego społeczeństwa, skazujemy je w części na zagładę. To nieszczęsne upodrzednianie przemysłu idei narodowościowej jest nie tylko główną przyczyną jego chronicznego niedowładu ale wywiera inny jeszcze nie mniej zgubny wpływ. Oto, jako przeciwstawienie do owej apoteozy własnego niedołęstwa, wyradza się u innych zgubne i fałszywe przekonanie, że przedsiębiorstwa polskie nie mogą wogóle konkurować z obcemi, i że nasze wyroby muszą być eo ipso droższe i gorsze. A jednak sprawiedliwość wyznać nakazuje, że i wśród naszych

ciężkich warunków budzą się do życia przedsiębiorstwa prowadzone fachowo i korzystające z postępów w techniki — tylko jest ich niestety w stosunku do ogólnej liczby za mało.

Pocieszającym objawem jest rozwój towarzystw przemysłowych wśród naszej ludności rzemieślniczej. Błędne jednakże jest rozpowszechnione u nas a powtarzane w kalendarzach przemysłowych mniemanie, że wyłącznym zadaniem towarzystw przemysłowych jest kształcenie fachowe swych członków. Rzemieślnik wstępujący do towarzystwa powinien być już fachowo wykształconym w swym zawodzie. Zadaniem towarzystw jest z jednej strony zapoznawanie swych członków z postępami techniki przemysłowej i gałęziami wiedzy stojącymi w styczności z przemysłem, z drugiej strony uzupełnienie wykształcenia ogólnego, mianowicie na polu ekonomii społecznej i nauk przyrodniczych.

Wszelkie błędy naszego społeczeństwa odnajdujemy mniej lub więcej rozwinięte i w naszych kółkach przemysłowych. Nasze mieszczaństwo to nie stan dążący z samowiedzą do jasno wytkniętego celu, ale ciemna i ciężka masa, odznaczająca się dziwną ospałością w sprawach publicznych. A jak każda ciężka masa według praw fizyki nie łatwo poruszyć się daje, a rozpędzona, nie łatwo w biegu zatrzymać, tak przedstawia nasze mieszczaństwo, sztucznie rozbudzone i do czynu popchnięte, obraz rozpasanych żywiołów, zdolnych do szerszenia zniszczenia — nie podatnych do budowy. Wydawało ono już kilkakrotnie z łona swego ludzi wybitnych, ale nigdy nie umiało ich zachować. Zamiast stawać się przewodnikami swej warstwy i wskazywać jej drogi w rozwoju społecznym, ludzie tacy u nas — szlachcicją — i błędne koło naszej niemocy toczy się dalej!

A teraz jeszcze kilka słów o arystokracji i rozpowszesnionych o niej błędnych pojęciach, prawdziwej achillesowej pięcie w wyobrażeniach naszego społeczeństwa. Trudno brać za złe potomkowi wielkiego imienia przeszłości, którego przodkowie niepospolite ojczyźnie oddali usługi, i byli prawdziwymi świecznikami narodu — że szczyli się takim pokrewieństwem. Pamiętać jednakże powinien, że cześć jaką społeczeństwo osoby przodków

jego otaczało, było tylko nagrodą i rekompensatą za oddane usługi.

Jeżeli cześć, otaczająca wielkiego człowieka, spada poniekąd na jego potomków, to zarazem z nadzieją, że i po nich społeczeństwo podobnych usług spodziewać się może. Takim duchem przejęte jest społeczeństwo angielskie, gdzie arystokracja pierwszorzędną polityczną rolę odgrywa, stanowiąc dźwignię narodowej wielkości.

W poznańskim arystokracji właściwie nie ma, gdyż te kilka rodzin, któreby do niej zaliczyć można, żyją za granicą i wykluczają się tym sposobem same z naszego społeczeństwa.

Prawdziwą arystokracją cechuje pewna skończoność form, oddawanie każdemu pod względem formalnym z wyszukaną grzecznością, co mu się należy; obok tego spora doza moralnej zgnilizny i wiele błędów, z których nie najmniejsze: nieprodukcyjność i rozrzutność powodują powolny jej zanik. Fichte twierdzi wprost: „zepsucie wzrasta razem z wysokością warstwy społecznej.“ Lasalle zaś tłumaczy zepsucie wyższych stanów w następujący sposób: Z dawniejszych wieków wyniosła arystokracja wiele przywilejów kastowych, które prąd czasów nowożytnych równocześnie z wzrastającą oświatą i siłą warstw niższych powoli usuwa. Arystokracja z natury konserwatywna, opiera się tutaj z tym większym wysiłkiem nowemu prądowi, że własny jej interes stoi na szali. Chciałaby zatrzymać nieprzeparty potok czasu, zachować lud w ciemnocie, walczyć z szerzącymi się ideami postępu, bo to właśnie stanęło na jej drodze.

„Przedstawcie sobie tylko,“ powiada Ferdynand Lasalle, „codzienne warunki takiego życia, a uczujecie do jak głębokiego wewnętrznego rozkładu prowadzić musi. Być zmuszonym sprzeciwiać się codziennie wszystkiemu, co wielkie i dobre, być zmuszonym smucić się, że się udało, cieszyć się że nie przyszło do skutku, wstrzymywać jego dalszy postęp, cofać co już w życie weszło albo musieć je przeklinać! To ciągle życie jak w kraju nieprzyjacielskim — a nieprzyjacielem jest tu spójnia moralna własnego narodu . . .“ i. t. d.

Jeżeli tak sam naturalny rozwój dziejów skazuje arystokracją na wrogi stósunek do własnego społeczeństwa, to na tem większe uznanie zasługują te

jednostki z jej łona, które, stanąwszy na szerszem stanowisku, wbrew kastowemu interesowi, popierają rozwój społeczny i oświatę mas.

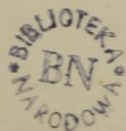
Ogół nasz jednakże dalekim jest od zrozumienia tych stosunków i skłania się raczej do niewolniczego uwielbiana już nie arystokracji, której nie mamy, ale wszystkiego co herbem trąci. A nie najmniejszą rolę w tym względzie odgrywają tu nasze kobiety. Wyćwiczone znakomicie w języku francuskim a często i w angielskim, nie mają nawet bladego pojęcia o naturze stosunków społecznych i o rzeczywistych wartościach życiowych. Ztąd nieuzasadniona duma, lekceważenie ludzi pracy i nauki, śmieszna gonitwa za herbem i tytułem. Chociażby nawet przedstawiciel tych względnych wartości co do rozwoju fizycznego i umysłowego był okazem zwyrodnienia rodu ludzkiego, będzie to zawsze dla przeciętnego typu naszej „panny na wydaniu“ t. zw. „dobra partya.“ W ostatnim przypadku wspaniałość trwa zazwyczaj krótko. W ręku niezdolnego przedstawiciela szlchetnego rodu topnieje, jak śniegi wiosenne, majątek, który ojciec i teść napróżno łatają, poki środki starczą. Po za umiejętnością gospodarstwa rolnego, której próba nie wytrzymała krytyki, nie umie nasz „obywatel“ nic więcej; staje się więc wraz z rodziną jednym wiecej ciężarem najbiedniejszego ze społeczeństw. I te smutne przykłady będą się powtarzać u nas tak długo, póki nie nauczymy się cenić człowieka i jego wewnętrznej wartości zamiast herbu i tytułu, treści zamiast formy, jądra zamiast łupiny.

— Zwrot pojednawczy w polityce, dokonany w ostatnim czasie przez społeczeństwo nasze, uważam za objaw dodatni na podstawie rozumowania, że lepiej pogodziwszy się, wynieść przynajmniej część ocalonych penatów z płonącego domu, niż walczyć z pewnością klęski. Ci co łudzili się nadzieją, że my we walce otwartej z rządem pruskim, możemy odnieść korzyści, robią wrażenie ludzi twierdzących, że gdy lew stanie do walki z myszą, tam zazwyczaj zwycięża — mysz! Sądzę jednakże, że i przy dzisiejszym zwrocie polityki nie minęło dla nas niebezpieczeństwo, kryjące się w naszej własnej niedojrzałości. Gdy rząd podaje nam już nie palec ale koniec paznokcia, my rzucamy mu się



na szyję, a potem, powołani do porządku, odwracamy się, mówiąc: „a to nas ledwo nie udusił z miłości!“ — To co dotąd z rąk rządu pruskiego otrzymaliśmy równa się prawie zeru. Dotąd na naszą zagładę wymyślona instytucja kolonizacyjna pracuje nad wynarodowieniem naszej ojczyzny, dotąd język nasz wyklęty ze szkół, dotąd urzędy i posady państwowe tak dobrze jak zamknięte dla nas, a my już wyczerpaliśmy cały zasób naszej miłości; stanęliśmy nawet jak mur z rządem przeciw tej lepszej części narodu niemieckiego, która słusznie widzi w zbrojeniu się nad siły zarodek upadku własnej ojczyzny. Zdawałoby się, że nad nami jakaś fatalność ciąży! Przez długie dziesiątki lat, kiedy rząd pruski stał na wewnątrz i zewnątrz na szczycie potęgi i znajdował nawet wypróżniając bezlitośnie kieszenie swych poddanych, bezwzględne posłuszeństwo, a nawet rodzaj uwielbienia u nich, nam przypadło w udziale stać po stronie opozycji i — odbierać ciężki! Dziś, gdy cierpliwość przysłowiowa narodu niemieckiego blizką jest wyczerpania, gdy nawet bierny i obojętny chłop niemiecki na wieść, że sznaps i tabaka będą droższe, i ręka poborcy jeszcze głębiej zapaści się do jego kieszeni, budzi się ze swego odrętwienia i zaczyna rozumieć co to jest — polityka, — kiedy jednym słowem dane są wszelkie warunki poważnej i skutecznej opozycji — dziś my stoimy po stronie rządu! Ha! trudno przewidzieć, co jutro przyniesie, ale bez prorocznego daru powiedzieć można, że jeżeli zwrot w naszych uczuciach i ustępstwach dla rządu pruskiego, nie będzie równomierniejszy i więcej zastosowany do korzyści, jakie w zamian odnosimy, rząd będzie nas durzył dalej świecidłami, jak się uspokaja dzieci ale nie dojrzałe narody, a potem, gdy mu już potrzebni nie będziemy, odrzuci nas, jak się rzuca łupinę po wyjęciu jądra; zużywszy nas do swych celów i osiągnąwszy je z naszą pomocą — pozostawi nam — malowane floty! —

Religia jest metafizyką tłumu; ludzkie nauki zaradzają tej samej potrzebie filozofją. Równie nierozsądnie byłoby odbierać ludowi religją, jak żądać od człowieka nauki, by zniżał swoje pojęcia i wciskał je w ciasne ramy wierzeń ludowych. U nas tego nie rozumieją — u nas wolnomyślność religijna to rzecz zakazana i wysoko nie-



bezpieczna, a przedstawiciele jej, — zazwyczaj ludzie o szerszym widnokręgu umysłowym, głową przerastający ogół — to rodzaj zapowietrzonych, którym się nie dowierza.

Chrześcijaństwo, to wzniosła nauka pokory i miłości bliźniego, tak piękna i tak przeciwna grzesznej naturze ludzkiej, że nosi w sobie znamię boskości. Ale katolicyzm, który my z taką zapamiętałością uprawiamy, — to wykrzywione chrześcijaństwo!

Chrystus mówił: „Królestwo moje nie jest z tego świata“ — a kościół dzisiejszy używa wszelkich sposobów, by dojść do władzy świeckiej — Chrystus nakazywał dobrowolne ubóstwo — katolicyzm gromadzi skarby; Chrystus mówił „przebaczcie nieprzyjaciołom“ — katolicyzm palił tych, co odmienne mieli przekonania w rzeczach wiary, na stosach. — A jednak przekonania to rzecz święta — to odblask ducha człowieka — mimowolny, tak jak zwierciadło promienie odbijać musi, króre szybę jego uderzą; czyż roztrzaskamy zwierciadło, dla tego, że bijące z niego blaski rażą oczy nasze — do ciemności przywykłe? Chrystus głosił pokorę i dawał jej przykłady, a ci co się następcami jego mienia, umieszczają na rękach i nogach relikwje, aby wydawało się, że całujący je tłum stopy im liże! Z tego wszystkiego inny przecie duch bije, jak ze wspomnień owej wschodniej galilejskiej krainy, gdzie po życiu jasnym jak gwiazda i pogodnym jak niebo, pełnym nieśmiertelnej mądrości, bógczłowiek wśród przerażenia przyrody bez jęku konał na hańbiącym drzewie krzyżowym — by policzkujący go i żółcią pojący, marny tłum ludzki odkupić.

A jeżeli tak być musiało, jeżeli wszystko, co wielkie i wzniosłe, jak Schopenhauer powiada, chcąc żyć i trwać między ludźmi, musi wykrzywić się i spospolitować, to jednak, gdy takim okiem przeszłość z terażniejszością zestawimy, staniemy na wyższej duchowej widowni i inaczej patrzeć będziemy na te wielkie dziejowe zapasy ducha ludzkiego, walczącego przez tysiąclecia za wolność, prawdę i przekonania przeciw ciemności, obskurantyzmowi i obłudzie. Wtedy po jednej stronie ujrzymy Chrystusa, konającego na krzyżu, męczenników kamienowanych, parzonych, rozszarpywanych przez dzikie zwierzęta, myślicieli średniowiecznych konających wśród tortur i pa-

lonych na stosach i tych, których dziś jeszcze zacofane społeczeństwa za przekonania śliną pogardy obrzucają; — po drugiej stronie faryzeuszów, skazujących na śmierć odkupiciela, motłoch kamienujący świętych, inkwizytorów wznoszących haniebne stosy i tych, co dziś jeszcze społeczeństwa w ciemnocie i błędach trzymają, ponieważ im samym z tem dobrze, dostatnio i ciepło!

I nie zachwieje nas w naszym przekonaniu ten dziwny widok, że ci, których za następców faryzeuszów uważać musimy, najgłośniejsi dziś: „Chrystus! Chrystus!“ wołają — to piasek rzucony w oczy tumanionej ludzkości! — Trudno u nas lud kształcić na podstawie nauk przyrodniczych i ekonomji politycznej, tych dwóch kamieni węgielnych nowożytnej wiedzy, bo jak ćma zazdrosna o światło zjawia się zaraz jakiś duch ciemności, starając się fakta naukowe postawić w sprzeczności z biblją, co przy dobrej woli zawsze się udaje. A jednak żądać, aby nauka stosowała się do biblji, jest to wyrzekać się wszelkiej nauki — bo biblja jest zamkniętym systemem, w którym nic zmieniać nie wolno, a nauka żyje wolnością badania, niezawisłością myśli i ciąglem postępem. Na co przeciwstawiać fakta biblijne wynikom nauki, kiedy lud nasz, łaknący wiedzy, sam instynktownie czuje, że wiedza i dogmat to odmienne dziedziny i nie spostrzeżę sprzeczności między nimi? A tam gdzie przeciwstawienie staje się nieuchronne, pamiętać trzeba o tem, że wyrażenia biblijne są zwrotami poetycznymi i przenośniami i nie przedstawiać ich jako nagie niezmiennie prawdy, bo to jest siew ciemności, z którego światło trysnąć nie może.

Wpływ umoralniający religji bywa przeceniany. Pomędzy wyznawcami wszelkich religji świata są ludzie uczciwi i łotry, zarówno jak pomędzy tymi, których siła umysłowa wyniosła po nad poszczególne wierzenia. Jak często wyszukana pobożność łączy się ze złodziejstwem i innymi równie brzydkimi wadami, o tem wiedzą ci, co z naszą ludnością służebną bliżej się zetknęli. Owa siła, co w każdym człowieku rozstrzyga o kierunku jego postępowania; jednego pędzi na manowce, innemu nie pozwala zboczyć z prawej drogi — nie ma nic z religią wspólnego i ma źródło swoje w charakterze człowieka który psychologja za niezmienny uważa.

Gdyby religijność społeczeństwa była probierzem moralności, byłibyśmy najlepszym narodem pod słońcem — a u nas człowiek nieposzlakowany należy do rzadkości. Religja jest metafizyką tłumu. Człowiek, atom krótkotrwały, a patrzący duchem w nieskończoność, drzy na myśl zniszczenia i widząc bezdeń nicości przed sobą, zasłania ją sobie ścianami, malowanemi w barwne kwiaty nieśmiertelności.

Jeżeli jednak katolicyzm jest wykrzywieniem chrześcijaństwa, to jezuityzm jest tą odnogą katolicyzmu, w której owa krzywizna i zwyrodnienie szczytu swego dosięgły. A ponieważ *similis simili gaudet*, więc jest on zarazem niedościgłym celem ujawnionych marzeń naszego społeczeństwa. U nas łamią się zazwyczaj szlachetne zamiary o brak zgody i wytrwałości — ale gdy chodziło o wprowadzenie Jezuitów do kraju, wystąpiło nasze społeczeństwo z niebywałą zgodnością. Długie kolumny podpisów drukowane ze skrzętnością przez Dziennik Poznański świadczyły o niewymownej tęsknocie naszego społeczeństwa do tych dobroczyńców — naszych i całej ludzkości. Jaką rolę Jezuiści w naszej przeszłości odegrali, wspomniałem wyżej; czem są dzisiaj, przekonuje najlepiej nowa broszura hr. Pawła Hoensbroech, który jako zapalony wielbiciel idei chrześcijańskiej i jezuityzmu przed 13tu laty do zakonu wstąpiwszy, nie dawno go opuścił. Były to podług jego zeznań lata walki szlachetniejszego umysłu przeciw nieznośnemu uciskowi ducha ludzkiego, łamiącemu potwornym systemem wszelką indywidualność człowieka. Dowiadujemy się tam o powolnem ale ciągłym i wytrwałem zamienianiu ludzi na manekiny bez woli, o szpiegowaniu wzajemnem i donoszeniu do władzy, o niepohamowanej pysze jezuickiej, przypominającej pychę owego faryzeusza z przepowieści Chrystusa, dziękującego Bogu, że nie jest jako ów celnik. Dowiadujemy się, że w przeciwieństwie do przykazań kościoła katolickiego zmuszają swych uczestników do zdawania t. zw. rachunku sumienia 104 razy na rok, i że nie szanują tajemnicy powierzonej nawet wtedy, gdy ów rachunek sumienia pod postacią sakramentu spowiedzi był dopełniony. „Któż daje“ pisze hr. Hoensbroech „człowiekowi prawo wymagać od bliźniego większych i cięższych rzeczy, niż Bóg żąda od swego stworzenia?!“ — A fakta te nie

pochodzą od jakiegoś przeciwnika idei katolickiej, ale od człowieka, który życie jej poświęcił i który spodziewał się znaleźć w zakonie jezuickim upragniony jej ideał!

— Co budzi w naszym społeczeństwie tęsknotę do tej najwstrętniejszej z ludzkich instytucji? Odpowiadają: boimy się socjalizmu. Nie bójcie się rodacy! Socjalizm nie jest, jak wasi „wielcy“ głoszą, chorobą społeczną, ale koniecznym wynikiem przesilenia społecznego, spowodowanego wprowadzeniem maszyny do przemysłu. Tylko tam, gdzie wielki przemysł się rozwinął, tylko tam i nigdzie zresztą znajduje socjalizm warunki bytu. Postarajcie się najprzód o wielki przemysł, a potem wolno wam będzie obawiać się socjalizmu.

To przerażenie, jakie chwyta nasze społeczeństwo na samą myśl o socjalizmie, jest częściowo winą tych, co uważają za swój obowiązek trzymać nas dalej w ciemnocie i przedstawiają go jako identyczny ruch z anarchizmem, z którym on nie ma nic wspólnego, częściowo skutkiem naszego zapoznawania spraw ekonomicznych i tego wielkiego przewrotu, co obecnie świat wstrząsa w posadach, aby mu nową przyszłość zgotować.

Ogromny odłam ucywilizowanej ludzkości jęczy od pół wieku skutkiem przeobrażenia przemysłu przez maszynę w twardej walce o byt, w pracy nad siły — bez wytchnienia. Ten ciężar okropny, którego pod groźbą głodowej śmierci na chwilę zrzucić im nie wolno, co chyli im barki ku ziemi, trawi zdrowie, młodość i zawcześnie targa siły żywotnie; ten ciężar, do którego dla podłego zysku niemiłosiernie zaprzężono dzieci i kobiety i podkopano moralność stanu robotniczego — on to wywołał protest uciemnionej ludzkości — a protest ten zwie się — socjalizmem. I jeżeli za wiele jest żądać od człowieka, aby za marną cenę, wystarczającą zaledwie na najkonieczniejsze potrzeby życiowe zamieniał się w bydlę robocze i patrzył jak inni bogaci się jego pracą i żyje w najwymyślniejszych rozkoszach zbytku, gdy on i dzieci jego suchy chleb z żarłocznością połykają, — i jeżeli nikt nie ma prawa, ponieważ przełom społeczny postawił go w możności wyzyskiwania innych, zgarniać bez wysiłku owoce twardej, krwawej pracy mas, rzucając im ze swej sardanapalowej ucztę żywota zaledwie kości do ogryzienia — to protest ten jest słuszny.

A ci, co stawając po stronie przemocy i wyzysku, każą ciemnym, pracującym masom żyć dalej w ciemnocie, nędzy, upodleniu i demoralizacji, pocieszając ich biblijnemi słowami, że wszelka władza pochodzi od Boga, mogą wszystko, twierdzić o sobie, tylko niech nie mówią, że są chrześcijańskim duchem przejęci!

Niestety nie znamy natury praw społecznych i konieczności, z jaką w danych warunkach występują, nieugiętej i nieuchronnej jak fatum starożytnych. Inaczej wiedzielibyśmy, że gdyby u nas znalazły się warunki odpowiednie do rozwoju ruchu socjalistycznego, żadna siła świata a tem mniej jezuityzm nie zdołałby ruchu tego powstrzymać; i oszczędzilibyśmy sobie i innym smutnego widoku owych wstecznych wysileń, których pamięć jeszcze wnuków naszych czoła rumieńcem wstydu okrywać będzie. — Nihil est ab omni parte beatum — więc i ruch socjalistyczny ma swe błędy, przeciw którym występować wolno. My jednakże, którzy najmniej jesteśmy nim zagrożeni, a mamy wiele własnych błędów potrzebujących gwałtownej naprawy, najmniej jesteśmy powołani do pracy w tym kierunku.

Poznań jest godną stolicą naszego pyłem średnio-wieczności zasypanego społeczeństwa. Kto pierwszy raz spogląda na nasze stosunki, zostaje wprost ogłuszony ogromną liczbą naszych reprezentantów o wysoko brzmiących tytułach: naszych prezesów, naszych dyrektorów, naszych profesorów (każdy nauczyciel gimnazjalny jest u nas profesorem) i t. d. i t. d. I wśród tej pompy, tych niskich ukłonów z jednej, tego zadzierania nosa z drugiej strony grzęźnie sobie nasz wóz społeczny coraz głębiej, a my zacieramy ręce i jesteśmy dziwnie szczęśliwi i zadowoleni. Są i u nas szlachetniejsze porywy, wybija się pragnienie odbijania ciosów germanizatorskich wymierzanych na zagładę naszej narodowości. I trudno żądać, aby nasze znikające środki skutecznie i wszechstronnie zaradzały dążnościom, po za któremi stoi silne państwo i setki milionów marek. Ale jednak nasze dążenia odporne mają w znacznej części znaczenie raczej demonstracji niż walki — to ratowanie honoru ale nie narodowości. Na ciemnotę ludu mamy kółka włościańskie — na kolonizacyą bank ziemski. Czy te środki obmyślane pełnią swą powinność, czy wy-

starczą — o to nikt już nie pyta. I z tąd pochodzi, że nasze instytucje społeczne są nieraz synekurami dla niepomiernie wielkiej liczby swych dyrektorów, a ciężarami dla społeczeństwa. Wyrobiliśmy sobie już pewną rutynę i biegłość w wygłaszaniu szumnie brzmiących frazesów o dobru ogólnem, na które łatwowiernych łapiemy — i obracamy potem ostatni grosz naszego społeczeństwa na życie wygodne dla siebie. Zawiedzionej zaś publice pokazujemy dumne oblicze już nie dyrektora ale dyktatora — i zawiedziona publiczność, przygnieciona tą wielkością — milczy. Zdawałoby się, że to z naszych „podpór społeczeństwa“ zebrał Shakespeare materiał do swych słynnych słów „modlą się oni do publicznego dobra, które nazywają świętem; albo raczej modlą się na niem, bo jeżdżą po niem wszecz i wdłuż i obracają je na bóty dla siebie.“ —

W braku uniwersytetu i na podstawie stosunków wyżej opisanych ruch naukowy nie znajduje u nas podniety i zastój na tem polu jest rodzajem smutnej ale nieuniknionej konieczności, z którą się liczyć musimy. Trudniej już pojąć, dla czego pośród członków zarządu jedyne go towarzystwa naukowego, jakie posiadamy, zasiadają ludzie, mający o nauce wyobrażenia równie dokładne, jak autor niniejszej rozprawy o wierzeniach religijnych panujących na Marsie. U nas wystarcza szumnie brzmiący tytuł!

Nasze pisma poznańskie zamykają się w ciasnem kole interesów klasy, której są przedstawicielami. Mamy pisma właścicieli ziemskich, duchowieństwa, mieszczaństwa, ludu; nie mamy organu, któryby stał na szerszej podstawie interesów całego społeczeństwa. Wszystkie mają jednakże pewną wspólną cechę: mniej lub więcej wyraźny koloryt ultramontański. Jedne milczą o zdrojnościach i nadużyciach, dziejących się wpośród nas, a że umieją milczeć z godnością i powagą — noszą więc nazwę: „pism poważnych;“ inne piszą o nich o ile zachodzą w obozie przeciwnym, lub jeżeli wypowiedzenie prawdy popiera ich własny interes — i tych się nie czytuje lub czytuje ukradkiem. Dla tego nie ma wyrobionej opinji publicznej i dla tego uchodzi u nas wszystko, jeżeli występuje pod stosowną osłonką, choćby ona była tak przejrzystą jak tkaniny, któremi niegdyś

damy rzymskie swe przyrodzone wdzięki zakrywały. Jeżeli opinia u innych społeczeństw przypomina kobietę zmienną w swych gustach, ale szanującą swą godność, to u nas jest ona ladaczną, którą za tanie pieniądze kupić i lada czem otumanić można.

Żyjemy w ukrainie illuzyi. —

Za czasów saskich, kiedy wśród ogólnego upadku naród hylał się do grobu, mówiliśmy: „Polska nierządem stoi.“ Gdy wskutek owego nierządu straciliśmy niepodległość i cierpieliśmy za własne winy, mówiliśmy: „Polska, Chrystus między narodami.“ Dzisiaj, kiedy ten byt ciężki pod obcą, brutalną przemocą trwa już znacznie dłużej niż lata Chrystusowe, mówimy: „jakoś to będzie.“ Każdy nasz występ publiczny, każde zgromadzenie, każda uczta prywatna czy publiczna jest nam upragnioną sposobnością do uwielbiania się wzajemnego i prawienia sobie grzeczności. Wnosimy toasty na zasługi, których nie ma, podziwiamy u siebie cnoty, które nie istnieją, okrażamy ze zręcznością akrobatów zdrożności, które należałoby poruszyć.

Wszystko to razem sprawia, że nie jesteśmy społeczeństwem zdrowo się rozwijającym ale wielkiem towarzystwem wzajemnej adoracyi. Nigdzie popolitość nie wybujała tak szeroko i nigdzie nie dmie się tak śmiesznie jak u nas i nigdzie nie cieszy się tak ogólnem uznaniem. A jak każdy medal ma dwie strony i każdy kij dwa końce, tak i my obok systemu wzajemnej adoracyi, mamy jeszcze uzupełniający go niejako system wzajemnego płaszczenia się — szerszy i dalej sięgający, niż owa pierwsza plaga, bo adorujemy tylko siebie, a płaszczymy się zarówno przed swoimi jak przed obcymi.

Że na takiej glebie sztuka zakwitnąć nie mogła, to naturalne. Trudno też zaiste, aby umysły artystyczne znajdowały podniecie do pracy w tradycyjnem naszym kiwaniu głowami nad utworami, z których nowożytniejszy pogląd na świat się przebija. Najpierw obcina Dziennik Poznański taki utwór i dostraja go do gustów naszego społeczeństwa, bez względu na to, że owo obciążenie psuje architektoniczną całość sztuki i zamiast logicznego następstwa faktów podaje psychiczne zagadki. Trudno — tylko w takiej formie nie razi ona naszej publiczności.



Potem następuje kiwanie głowami. Znamienny ruch ten lub dla odmiany „wymowne milczenie“ nad takim utworem zaczyna się w panaceum naszej narodowej mądrości: Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Potem kiwa głową Kuryer Poznański, potem całe społeczeństwo, wreszcie biedny autor sam spuszcza głowę możliwie nisko i żałuje serdecznie, że nie napisał czegoś w rodzaju: „Kościuszek pod Raclawicami.“ Tego rodzaju sztuki, śmieszne operetkowe parodie wielkich chwil narodu naszego, znajdują u nas uznanie, a dzienniki głoszą, że powstał nowy „utwór narodowy.“

Co u nas natomiast nie razi, o tem można się było przekonać na obchodzie Mickiewiczowskim przed kilku laty. Po mowie długiej i zajmującej jak Messyada Klopstocka, z której dowiedział się Poznań, że Mickiewicz żył, śpiewał i umarł, wystąpił deklamator z popisem, którego wspomnienie dotąd jeszcze powoduje lekki dreszcz całej mej istoty. Przyjąwszy, jak się zdaje, za zasadę, że do deklamacyi potrzeba tylko tubalnego głosu, grzmiał on znany, końcowy ustęp z Wallenroda, a koncentrował potęgę swego głosu w słowach: „Alf zapaliwszy (sic.) wrzeźdzędem podwoje.“ I rzecz niesłychana: wiara zgromadzona tak dała się porwać urokowi jego talentu, że przeciągłe brawo, okrzyki uwielbienia i niestety skutkiem uwieńczone: „bis!“ było odpowiedzią na występ. Deklamator grzmiał więc jeszcze raz!

Wysoko charakterystyczny jest przebieg sprawy budowy domów przed teatrem polskim. Gdybyśmy byli bez czynienia rozgłosu podług planu jakiegokolwiek z naszych ludzi fachowych postawili dom taki, jak ten, który obecnie jest na ukończeniu, nie byłoby powodu do zarzutu. Dzisiaj, po wrzawie podniesionej, po urządzeniu rodzaju współubiegania się między pierwotnymi wykonawcami planu a superarbitrem, musimy gmach wystawiony uważać niejako za ostateczny wyraz naszej sztuki architektonicznej; i wyznać trzeba, że nie nadaje się on wcale do budzenia zbyt wysokich pojęć o architekturze polskiej. Filary, umieszczone w pierwotnej fasadzie przez superarbitra nad przepaściami okien wystawnych, co ludzie fachowi rodzajem huśtawki architektonicznej nazywali, przeniesiono z pierwszego piętra na drugie — oto wszystko. Chyba, że ktoś zechce uważać owo

BIBLIOTEKA  
Wydzielną Społeczno  
L. S. S.

wzniesienie dachu na kształt psiej budy, królującej ponad umieszczonym na wyżynach trzeciego piętra napisem: „Teatr Polski“ za coś niezwykle ponętnego.

Na owym cyplu umieszczono Apollina. Ten Apollo jest bez wątpienia najniezszczęśliwszą istotą z całego Poznania. Stoi na ostrym dachu, w brodę żgają go ostre igły złotej liry, plecy przebijają mu trzy skośne drągi, a do głowy przypięto mu rogi. Tak stoi wszystkim czasom na przestroęę, ucząc, co się dzieje z bogami światła, gdy zstąpią między ciemnych ludzi!

— My nawet bawić się nie umiemy! Nasze t. zw. wspólne zabawy, w których obywatelstwo wiejskie i miejskie udział bierze, nie są zabawami, ale raczej demonstracyami kastowemi, znamionującemi może najdosadniej naszą bezmyślność. Owe bale na sali bazarowej, gdzie zjechawszy się na wspólną zabawę na jednym końcu sali tańczy „wieś“, na drugim „miasto“ a zdrowy rozsądek stoi w środku, bładz z przerażenia, i załamuje ręce są chyba specjalnością Poznania i gdzieindziej nie możliwe. Owe panny i panie ze wsi, którym się zdaje, że są wzorem arystokracji, i dla tego uważają za stosowne przybierać śmieszne miny lekceważenia, gdy ktoś z miasta do nich się przybliży, zapominają o jednej rzeczy — że arystokracja odznacza się wyszukaną grzecznością. Najsmutniejsza rola jednakże przypadła tym w udziale, którzy w naiwności swego ducha, sądząc ze owa „wieś“ rzeczywiście przedstawia jakąś niedoścignioną wyżynę — a sami należąc do miasta, wciśkają się nieproszeni w koła, gdzie na nich patrzą przez ramię, i znosząc systematycznie okazywane lekceważenie, czują się jednak dziwnie szczęśliwi i zaszczytzeni. Są to na szczęście wyjątki, ale wyjątki niebezpieczne, bo utrzymujące i zaostrzające owo rozdwojenie już tem samem, że nadają mu pozory słuszności. Tutaj jest okazywane lekceważenie rzeczywiście na miejscu.

— Życie ludzkie jest już samo w sobie grą, która według znanego przysłowia zazwyczaj światła nie opłaca. Pomimowoli postawieni wśród tego świata dowcipnie padolem płaczu nazwanege, opłacamy każdą chwilę swobody i wesołości wielu przykrościami, małemi i wielkimi, następującemi po sobie rzadko przerywanym łańcuchem.

Tylko wyższe umysły, wnikające głębiej w istotę warunków żywota, umieją zabarwiać sobie i innym poważne a nieraz przykre zajęcia życiowe humorem lub niekiedy lekkim odcieniem ironji — filister patrzy na życie z niczem niewzruszoną powagą, jako na rozwikłanie wielkiego zadania, wystarania się o chleb możliwie obfity dla siebie i swoich.

Ale wnosić nawet do zabawy, która istotą swoją ma być krótkim zapomnieniem przykrości życiowych właśnie tego, przed czem uciekliśmy t. j. nędz własnego marnego ducha i zatruwać ją sobie i innym, to jest coś potwornego, na co w całej naszej bogatej mowie polskiej odpowiedniego wyrażenia nie ma; i dla tego, chcąc to wyrazić, trzeba się zapożyczyć w sąsiadów — to stumfsinn!

— Kiedy wielkie ekonomiczne przewroty średnich wieków wstrząsnęły światem i naszym narodem, nie umieliśmy się dostosować do nowych warunków i puściwszy się błędnym torem — upadliśmy. Rozpanoszenie się jednego stanu społecznego i niedopuszczenie innych do rozwoju — to smutna droga dziejowa naszego upadku. Dzieje Polski — to dzieje szlachty polskiej i pouczający przykład, że jeden stan nie może stale reprezentować całego narodu, chociażby strumienie krwi przelewał na polach sławy i pamięć świetnych czynów orężnych na wieki przekazał potomnym. To praca błyskotliwa ale bezpłodna, bo podczas gdy na zewnątrz rozszerzają się granice i drżą pobite wrogi, wewnątrz toczy olbrzymie ciało narodu rak nieuleczalny, co niepostrzeżenie łamie jego siły, zatruwa soki żywotne i nie spoczywa w zabójczym dziele, póki dumnego siłacza, od morza do morza się rozpierającego, przedwcześnie do grobu nie wpędzi. I na tę pracę Zyzyfa, na to szamotanie się trwające przez wieki, rzuca posępny cień klerykalizm, tak bujnie kwitnący u nas wśród powolnego konania narodu, jak tylko pasożyty kwitnąć i krzewić się umieją — w mroku i wśród trupiego zapachu. I gdybyśmy dziś byli zdrowo się rozwijającym społeczeństwem i rozumie przeszłość, jasno zarysować by się musiało przed nami, że najważniejszym zagadnieniem przyszłości jest powołanie do życia i siły wpół zamarłych stanów: ludu i mieszczaństwa i otrząśnienie się z gniotącego

ducha naszego klerykalizmu. A my nie nauczywszy się nic, i nic nie zapomniawszy, umieramy z tęsknoty za herbami usiłujemy wprowadzić jezuitów i płaszczymy się przed klerem!

Coż dziwnego, że zamiast podźwignąć się z upadku, grzęźniemy coraz głębiej?

Coż więc czynić mamy? —

Staralem się wykazać, że społeczeństwo całe we wszystkich swych warstwach zachwyliło zgnilizny moralnej — więc można z góry powiedzieć, że wszelkie półśrodki, ograniczające się do tego lub owego odłamu społeczeństwa, a nie ogarniające całości, nie doprowadzą do niczego. Trzeba działać od razu na wszystkie warstwy społeczeństwa, zacząć jednakże od szerokiej jego podstawy od ludu, i na tem polu siły swoje wyteńczyć. Lud nasz jest religijny i dla tego, że to uczucie jest całą jego posiadłością duchową, że po za tem nie ma już nic więcej, dla tego trzyma go się z takim natężeniem, jak tonący ostatniej deski zbawienia. Nie odbierajmy mu jego wiary, ale dajmy mu prócz tego poczucie narodowości i wiedzę. Należy nie tylko powiększyć liczbę kółek włościańskich, ale prócz tego obmyślić instytucją, której wyłącznem zadaniem będzie dozоровanie istniejących kółek, badanie przyczyn niedostatecznego ich rozwoju i zapobieganie takim objawom. Instytucja ta, zaopatrzona w odpowiedni fundusz, wydawałaby roczniki, dające dokładny obraz swych czynności i rozwoju kółek.

Dla ludności miejskiej, przemysłowej powinno być hasłem wykształcenie fachowe. Wszelkie deklamacye o popieraniu przemysłu przez patryotyzm, o kupowaniu u swoich i t. d., dowodzące elementarnej nieznamomości praw ekonomicznych i chcące łączyć rzeczy wykluczające się wzajem — bo przemysł i handel to interes a patryotyzm to uczucie — powinny ustać.

Dajcie waszym przemysłowcom i kupcom wykształcenie fachowe, a oni pomogą sobie sami i znajdą odbiorców zarówno u swoich jak u obcych. Dziwimy się apatyi kół przemysłowych, ich biernej postawie w obec spraw publicznych, ale zapominamy, że ciąży na nas grzech przeszłości w obec tego stanu, z którego dotąd się nie otrząśliśmy. Nie róbmy z przemysłowca rodzaju obywatela drugiego rzędu, a wtedy przestanie i on uważać

się za obcego na własnej ziemi i nie będzie usuwał się od spraw publicznych. Pamiętać winniśmy o tem, że od rozwoju stanu średniego i ludu zależy przyszłość nasza.

Niechaj zginie raz z mora dusząca naszą intelligencyą, nadziana dogmatem i kastowością, w środku kryjąca zgniliznę moralną i samolubstwo, z wierzchu pokryta kosztownym płaszczem patryotyzmu i świętości! Niechaj ten postępek tak długo poniewierany, deptany, kryjący się gdzieś po kątach, chociaż do panowania zrodzony, podniesie raz głowę i rozwieje, jak słońce poranne mgły obskurantyzmu, zacofania i obłudy! Niechaj znajdzie sobie ujście w niezależnym organie prasy, popierającym interes ogółu nie warstwy społecznej albo własny. Jeżeli każdy grzech, popełniony w obec społeczeństwa, będzie wytknięty bez ogródki i bez względu na osobistość, jeżeli te osłonki przejrzyste, kryjące wyzysk sprawy narodowej na korzyść własnej kieszeni będą zdzierane bez litości, to wówczas i nasza opinia publiczna podniesie się ze swego upadku. Dajmy młodzieży naszej zarówno męskiej jak żeńskiej w rękę książkę ekonomji społecznej, aby dowiedziała się, że podstawą wartości życiowych nie są herby i tytuły, ale praca. A gdy wśród takich odmiennych warunków i zdrowszej atmosfery wyrośnie nasze młode pokolenie, wówczas zniknie samo przez się owo wstrętne pełzanie i płaszczenie się przed popolitością dla marnego grosza lub jeszcze marniejszego tytułu. Zamiast pyłem średniowiecznych okrytych rycerzy naszego chwiejącego się sztandaru, który podmucha czasów nowożytnych drze na kawały, wstaną ludzie nowi, co nie zawahają się zdeptać i połamać starych ideałów przeszłości, drogich nam jeszcze siłą przyzwyczajenia, gdy stają się więzami, krępującymi rozwój i przyszłość społeczeństwa. — Jeżeli ginąć nie mamy, musimy połączyć nasze siły. Chłop czy szlachcic, wielki przemysłowiec czy arystokrata, ksiądz czy mieszczanin, my nie pytamy o to. Jeżeli przekłada światło nad ciemnotę, wolność nad uciemiężenie, postępek nad cofanie się — on nasz! I pamiętamy o tem, bo nam nic zapominać nie wolno, że urodziliśmy się wprzód Polakami, a potem dopiero kościół wziął nas na łono swoje. I pamiętamy, że to matka czuła dla swych dzieci, ale nie zapominająca

o sobie, i że jeżeli dla grzecznych ma niebo w zapasie, to dla niegrzecznych miała swego czasu tortury i stopy płomienne — i że tęskni do tych cacek. A jeżeli w tej pracy nad oświatą ludu naszego, nad wyzwoleniem społeczeństwa z cisnących go kajdan przesądów, uprzedzeń kastowych i ciemnoty nie stanie po naszej stronie i nie będzie razem z nami walczyć za wielką i świętą sprawę podniesienia ojczyzny z niemocy — to obędziemy się bez niej.

Nitsche powiedział, że świat obraca się około nowych wartości i powiedział głęboką prawdę. Gdy święte talizmany przeszłości zużyły się już jak grosze wytarte wiekowym użytkiem — głupiec może tylko stawiać je jeszcze na piedestale! Jeżeli porwani dziejowego koła obrotem, raz jeszcze podźwignąć się chcemy do góry, musimy połamać je i rzucić i stworzyć sobie wartości nowe i nową drogę przewodnią. — Głos dzwonów kościelnych i uroczyste tony organów i słowo Boże głoszone z kazalnicy i natchnione twarze świętych, co patrzą pomiędzy wyniosłymi łukami z rzeźbionych ścian świątynicy — wszystko to budzi w nas cześć wiekami uświęconą — ale mylili by się, ktoby sądził, że ona tkwi rozdzielona na cząstki w tych wiarą milionów uświęconych przedmiotach; — nie — owę świętość wzięły one raczej z serc ludzkich, gdzie żyje cała i niepodzielna. Świętość trzeba nam zachować — forma, pod jaką się objawia, i przedmiot, ku któremu się zwraca, to rzecz podrzędna i zmienna.

Przed tysiącem lat stały na tych samych miejscach, gdzie dzisiaj żywot pędzimy, bogom słowiańskim poświęcone lasy, posągi Światowida, czterema kamiennymi twarzami na świat zapatrzone i władcy gromów Peruna, miotającego zabójcze pociski przeciw nieprzyjaciołom swej ziemi. I panowała uroczysta cisza wśród mrocznych lasów, i biła świętość ogromna z posągów bożyszcz kamiennych — bo wzięły ją one z serc milionów, jednym duchem i jedną wiarą ożywionych. A gdy z zachodu na ziemie słowiańskie napłynęły tłumy niemieckie w zbrojach świecących jak słońce i krwią zalały krainy lackie, niosąc im na ostrzach dzid i mieczów zniszczenie, patrzyły bogi słowiańskie kamiennymi twarzami na nawałę germańską i rzeź swych synów — bez-

silne. Wtedy padły wśród jęku toporów omszałe wiekami dęby święte i młot bojowy powalił o ziemię wyniosłe posągi Światowida, i tarzał się twarzą w prochu ojczyściej ziemi srogi Perun, bo nie miał pocisków na wroga — i ogień Żnicza zagasł. A wysoko po nad puszcze zielone wyrósł krzyż potężny, uderzając serca prostacze jakąś błogością nieznaną i niosąc im zbawienie. I trwał naród przez wieki zapatrzony z dziwną miłością w ten krzyż wielki, potężny, co go wyrwał ze szpon najeźdców i zdawał się roztaczać nad nim opiekuńcze ramiona, i przeniósł na niego całą świętość i cały urok dawnych bogów i puszcz i obrzędów niepodzielny i nienaruszony. A znać zanadto musiał go ukochać i za wiele polegać na nim, bo zapatrzony w niebiosa zaniedbał ziemskich spraw i stanął nad brzegiem przepaści. A wtedy zmalął nagle krzyż, pokrył się kosztownymi dyjamentami, i skoczył na piersi największego naszego wroga, tego samego wroga, co bezecne słowa: „siła przed prawem“ na system żelazny zamienił.

Polacy! przodkowie wasi mieli topory i młoty na bogi bezsilne — cóż wy uczynicie?

Rodacy! znalazł się człowiek, co śmiał wam prawdę powiedzieć — uderzcie na trwozę!



Inw 8292



Kazimierz Jeziorowski

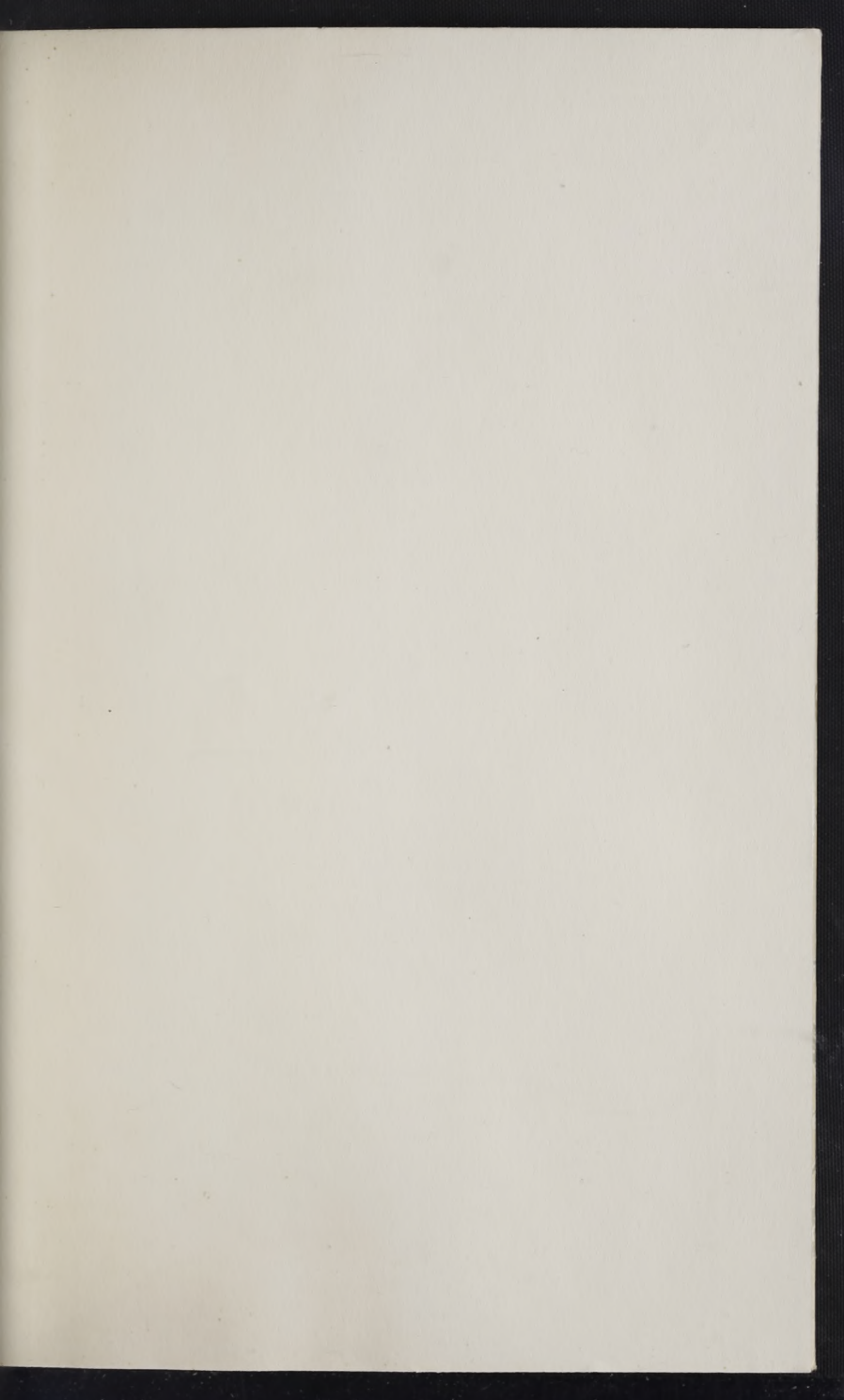
BIBLIOTEKA

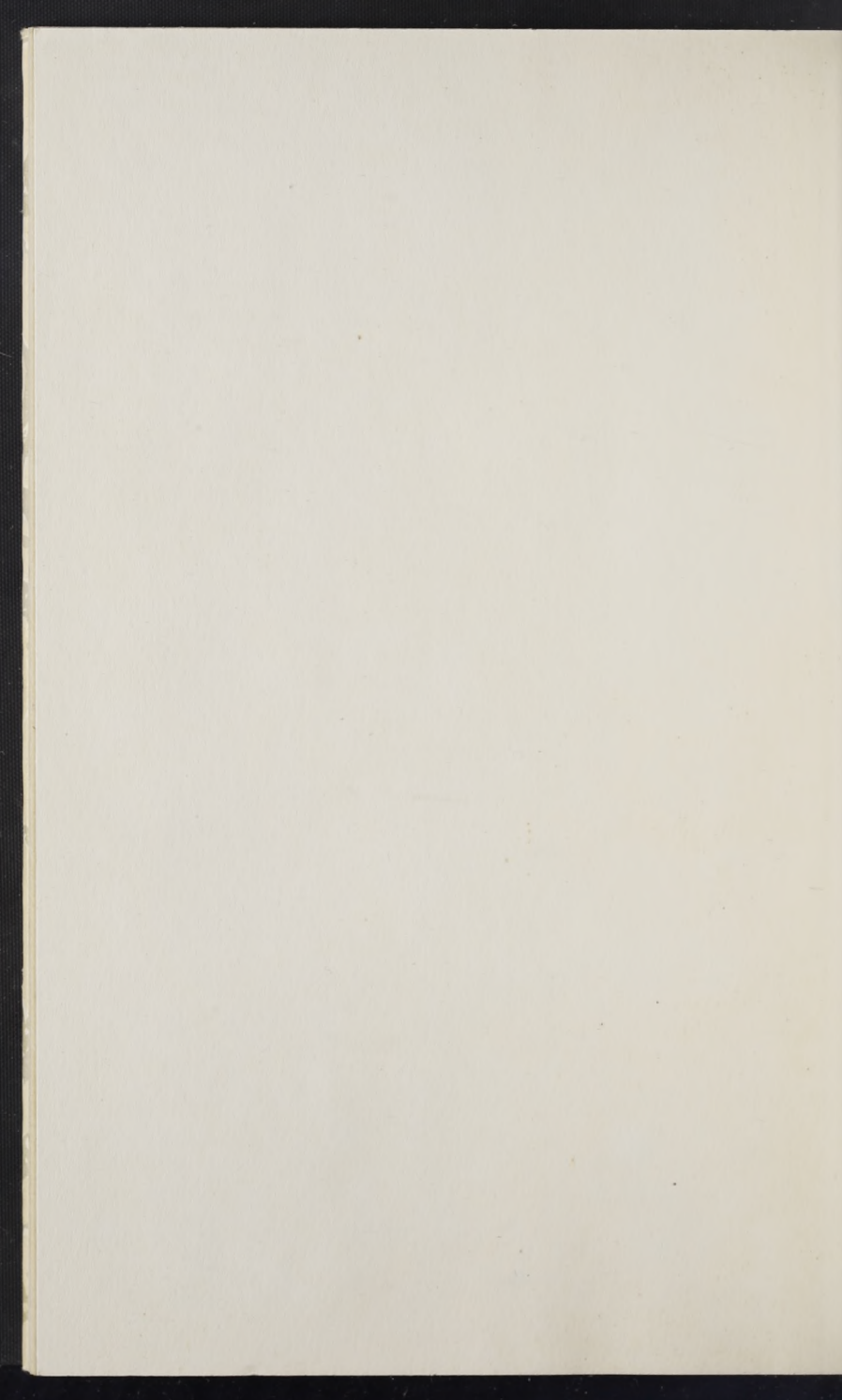
L. S. S.

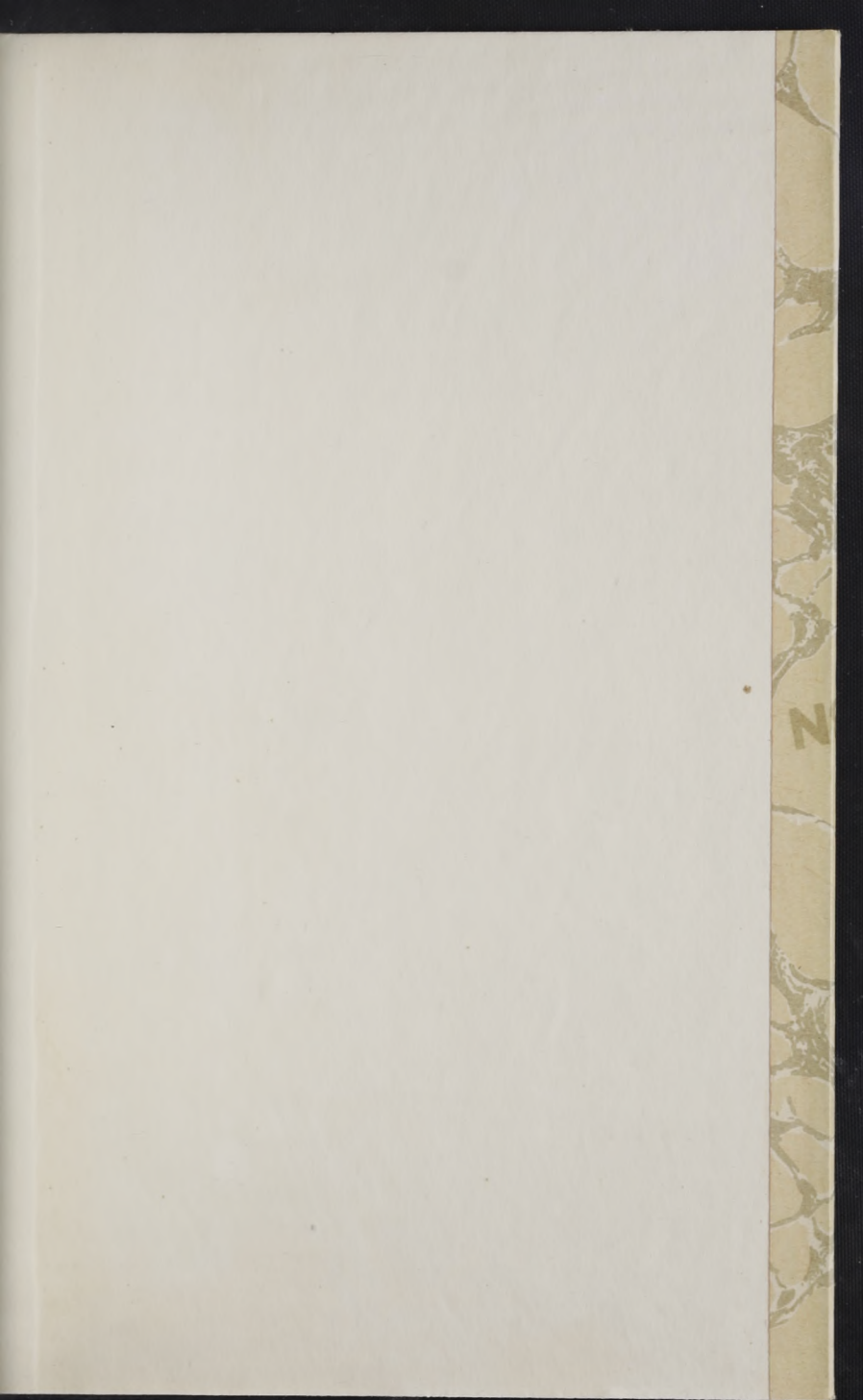
This is a very faint page of text, likely bleed-through from the reverse side of the document. The text is mostly illegible due to its lightness and the age of the paper. Some words are difficult to discern but appear to be arranged in several paragraphs.

A faint, diagonal stamp or mark is visible in the lower-left quadrant of the page. It appears to contain some numbers and possibly a date, but the details are too light to read accurately.











1404300

---

---

BN

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020472458